

Z Rudnika na targ niewolników

Nadszedł termin wyjazdu na roboty. Sytuacja była dramatyczna. Stanisław zadeklarował, że to on pojedzie, bo takie rozwiązanie uchroni rodzinę od niechybnej nędzy w sytuacji, gdyby zabrakło ojca. Tłumaczył, że bez ojca on razem z matką nie potrafią obrobić gospodarstwa i wykarmić młodszego rodzeństwa. Było to logiczne myślenie. Ojciec doceniał dojrzałość tej decyzji, ale zdawał sobie sprawę z niepewności losu własnego dziecka, wiedział, na co skazuje syna. Był to krok pełen poświęcenia i rozpaczliwy w swojej wymowie. Obydwoje rodzice wiedzieli dobrze, że najstarszy syn uczynił tak w imię solidarności i odpowiedzialności za całą rodzinę.

Stanisław był wtedy w pewnym sensie dumny z siebie, bo czuł, że oto okazał się już w pełni dojrzałym mężczyzną. Mimo wielu wątpliwości i obaw wszyscy milcząco uznali, że nie ma innego wyjścia. Co prawda wchodziło w grę zwolnienie z powodu choroby, ale rodzina była zdrowa. Zarządzenie władz okupacyjnych trzeba było wykonać. Józef dobrze pamiętał nie tak odległe czasy austriackie, kiedy po młodych Polaków – poborowych przychodzili żandarmi z kartą powołania na front. Tak jak przed laty, teraz też groziła kara śmierci za niestawiennictwo.

Z wyraźną troską na twarzy rudnicki sołtys umieścił Stanisława na liście, a termin wyjazdu do Rzeszy ogłoszono już po kilkunastu dniach. Wszystkim zapisanym polecono zaopatrzyć się w niezniszczoną odzież i obuwie, a także zabrać zapas żywności na dwa dni. Osoby wyznaczone z Rudnika miały się stawić w Sułkowicach na placu targowym, gdzie kilkakrotnie sprawdzono listę. Porządku pilnowała granatowa policja.

Rozstanie Stanisława z rodziną było bardzo smutne. Matka, cały czas pochlipując, wręczyła mu na drogę niewielki drewniany kufer, a w nim trochę jedzenia, koszulę, ręcznik, parę drobiazgów i mały obrazek Matki Boskiej. Obrazek ten był pamiątką z pieszej pielgrzymki, jaką odbyli razem do Kalwarii Zebrzydowskiej. Siostra Stefka, która siostrzaną miłością bardzo kochała swojego najstarszego brata, za nic nie chciała się z nim rozstać. Na koniec odprowadziła go aż do samych Sułkowic i cały czas płakała jak bóbr.

Ojciec pożegnał syna w milczeniu, ucałował, pobłogosławił na drogę, a potem bez słów wyszedł z domu w kierunku Dalina. Stanisław zapamiętał, że u ojca, tego niezwykle twardego mężczyzny, weterana i CK dezertera z czasów I Wojny, załśniły wtedy łzy w oczach. Józef nie poszedł do Sułkowic. Być może bał się, że nie wytrzyma, że w ostatniej chwili puszcza mu nerwy i nie zdoła się opanować. Być może swoją rozpaczą nie chciał pogarszać i tak już ciężkiego położenia syna. Dwie spływające po twarzy ojca łzy powiedziały Stanisławowi wszystko.

W Sułkowicach na placu nie było Niemców, ale polska policja granatowa. Wszystkich przybyłych ustawiała w szereg i co chwila sprawdzała obecność. Okazało się, że w tym dniu zwołano wielu ludzi z okolicznych wsi. Po godzinie oczekiwania rozpoczęto załadunek. Wyczytywane z listy osoby kierowano bezpośrednio na

okryte plandekami samochody ciężarowe, pilnie strzeżone przez policjantów.

Stanisław szybko zorientował się, że jest chyba najmłodszym i najszczuplejszym z przybyłych, ale nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Samochody przetransportowały wszystkich do Krakowa. Wyładunek na kolejowym dworcu towarowym przebiegał bardzo sprawnie. Tu już dyrygowali Niemcy wspomagani przez psy, a granatowi policjanci uwijali się jak w ukropie. Raz za razem słychać było gardłowe pokrzykiwanie Niemców i połajanki policjantów. Stanisław po raz pierwszy zobaczył na czarno umundurowanych i uzbrojonych gestapowców z charakterystycznymi blachami na piersiach. Niektórzy z nich trzymali w rękach szpicruty lub na smyczach duże, szarpiące się psy bez kagańców.

Podczas schodzenia z samochodu ktoś nadepnął Stanisławowi na sznurowadło i rozwiązany trzewik zaczął mu spadać z nogi. Aby wepchnąć sznurówkę w ciasną dziurkę cholewki, musiał przykucnąć, przez co na czas nie zajął miejsca w dwuszeregu. Trwało to może tylko kilkanaście sekund, jednak wystarczająco długo, aby dostrzegł to i zainteresował się nim gestapowiec. Pochylony nad butem Stanisław zauważył nagle, że obok stanęły mocno wyszmelcowane czarne oficerki. Pamiętał, że podobne mieli najbogatsi kowale z Sułkowic, ale żadne nie lśniły tak jak te. Zamarł na moment, bo domyślił się, że mogą one należeć tylko do Niemca.

– Stehe auf! – usłyszał wrzask, ale nie zrozumiał, o co chodzi, i jeszcze bardziej nerwowo usiłował zawiązać buta.

Stehe auf, sofort! – wrzasnął po raz drugi masywny Niemiec, a widząc, że Polak nie wykonuje jego poleceń, jedną ręką chwycił go za kark, uniósł w górę i pchnął z całej siły w kierunku dwuszeregu.

Stanisław potknął się i upadł. Podnosząc się, szybko zawrócił po kuferek, którego nie zdążył wcześniej pochwycić. Rozwścieczony Niemiec nie pozwolił mu jednak zabrać skromnego dobytku. Wyzmelcowany czub buta z całej siły kopnął w nieporadnie wykonaną skrzyneczkę, która natychmiast rozsypała się na pojedyncze deseczki. Zawartość wypadła w kałużę. Mały obrazek Matki Boskiej Kalwaryjskiej znalazł się na kocich łbach, z wizerunkiem Madonny zwróconym ku ziemi. Przechodzący wzdłuż szeregu gestapowiec nadepnął go jeszcze okutym obcasem. Dał się słyszeć brzęk miazdzonego szkła i połamany, poświęcony kiedyś na Kalwarii obrazek został wgnieciony w błoto. Obserwujący zdarzenie granatowi policjanci nie pozwolili niczego pozbierać, szybko i usłużnie wypychając rozdygotanego Stanisława do szeregu.

Rozpoczęła się wstępna selekcja. Kobiety ustawiono po jednej stronie placu, mężczyzn po drugiej. Wytypowani na robotników do Rzeszy szybko zorientowali się, że od tej pory stali się tylko pozycjami na liście. Po kilku godzinach grupę Stanisława, liczącą około 350-400 osób, załadowano do pociągu. Był to zwykły pociąg osobowy z drewnianymi ławami. Do każdego z wagonów wsiadło jeszcze po czterech policjantów – po dwóch z każdej strony. Po kilku godzinach jazdy, już w nocy, pociąg zatrzymał się na bocznicę dużej stacji. Jeden ze starszych mężczyzn stwierdził, że to Katowice.

Następnego dnia rano, tym razem pod eskortą samych już tylko niemieckich policjantów i strażników kolejowych, grupę Polaków przeprowadzono do dużej hali. Później Stanisław zorientował się, że mogła to być jakaś hala magazynowa lub świetlica kopalni. Tu nastąpiła faktyczna selekcja przyszłych robotników Rzeszy. Starszych i masywniejszych mężczyzn kierowano od razu

do drugiej sali, a słabszych fizycznie i młodszych pozostawiono na miejscu.

– Tamci pójdą pewnie do fabryk albo do kopalni, a my to może dostaniemy się do bauerów, znaczy się do roboty na roli. To nie takie najgorsze – pocieszał półgłosem stojący obok starszy mężczyzna.

Takich grup jak Stanisława przyprowadzono jeszcze kilka. Po zakończeniu selekcji znalazł się w grupie około 500 osób. Tłumacz mówiący co prawda po polsku, ale z wyraźnym śląskim akcentem, poinformował zebranych, że pozostaną na tej hali do dnia następnego. Po jakimś czasie wniesiono jeszcze wielki kocioł z czarną kawą i zaryglowano drzwi od zewnątrz. Nie było mowy o skorzystaniu z ubikacji czy łaźni. W jednym z narożników ustawiono kilka kartonów dykty i w ten sposób powstała prowizoryczna latryna. Stanisław nie miał nic do jedzenia, ponieważ wszystko, w tym i kawałek placka upieczonego przez matkę na drogę, stracił na dworcu w Krakowie. Jakiś starszy mężczyzna spod Nowego Sącza podzielił się z nim wtedy kawałkiem chleba i suchego góralskiego sera.

Do rana przetrwali, siedząc w kucki, drzemiąc i tuląc się do siebie nawzajem z powodu nocnego chłodu. Było jeszcze szaro, gdy poderwał ich szcęk otwieranych metalowych drzwi i do hali weszło kilkunastu umundurowanych Niemców. Rozpoczęto wyczytywanie z listy i podział na mniejsze grupki. Stanisław dołączony został do około stuosobowej grupy mężczyzn. Ustawiono ich w trójszereg i poprowadzono do sąsiedniego budynku. Tam przygotowane już były stanowiska fryzjerów, którzy wszystkich przybyłych ostrzygli do gołej skóry. Rozglądając się wokół, zauważył w rogu salki pokaźną stertę włosów, zapewne z poprzednich

dni. Około południa zarządzono przemarsz do budynku, z którego dolatywał zapach gotowanego jedzenia. Porządnie głodny, z nadzieją myślał o jakimkolwiek jedzeniu. Rzeczywiście, każdy z przybyłych otrzymał metalową łyżkę i miskę, do której kucharz wlał z kotła kartoflaną zupę. Ze stojącego obok kosza można było zabrać kromkę chleba.

Pomny przeżytego głodu i świadom, że żadnych zapasów nie posiada, Stanisław ukradkiem zabrał dwie kromki. Jedną zjadł wraz z zupą, a drugą przezornie ukrył w kieszeni. Po posiłku wszystkich poprowadzono do kolejnego budynku, w którym zorganizowane było coś na wzór łaźni połączonej z odkażalnią odzieży. Po raz pierwszy w życiu Stanisław musiał rozebrać się do naga w obecności obcych ludzi i przejść do zbiorowej łaźni. Była to najprawdopodobniej łaźnia kopalniana. Wszystkich poddano obowiązkowej kąpieli, a następnie każdemu wręczono małą, siną kostkę przypominającą mydło, która straszliwie śmierdziała. Tłumacz nakazał nią wyszorować wszystkie owłosione miejsca.

– To siwy kamień, trucizna przeciwko wszawicy. Kiedyś dawali nam takie w austriackim wojsku – poinformował jeden z mężczyzn.

Po tym zabiegu wszyscy, trzęsąc się z zimna, kilka godzin czekali na swoją odzież, którą w tym czasie poddano odkażaniu.

Stanisław po raz pierwszy stwierdził, że „maszynka niemiecka” działa w sposób przemyślany i perfekcyjny. Nawet po latach przyznawał, że zabiegi, którym ich wtedy poddano, były potrzebne i uzasadnione, bo wielu w tamtych czasach miało wszy. W ten sposób przeprowadzano wstępną dezynfekcję ludzi i odzieży.

Po wydaniu cuchnących niemiłosiernie chlorem ubrań wszystkich skierowano przed komisję lekarską. Komisja ta przeprowadziła

pobieżne badanie sprowadzające się do powierzchownego oglądu oraz zapisania wagi i wzrostu. Nie interesowano się stanem uzębienia i nie pytano o ewentualne dolegliwości. Po badaniach zapowiedziano, że następnego dnia transporty robotników wyruszą do Rzeszy.

Późnym wieczorem Stanisław postanowił zjeść pajdkę chleba, którą przezornie schował w południe do kieszeni spodni. Mając wpojony szacunek do chleba, nie śmiał wyrzucić przesyconej chemikaliami kromki. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Już po godzinie piekący ból brzucha i torsje wyrwały go, odrętwiałego, ze snu. Do rana nie zmrużył oka, raz po raz wymiotując. Wkrótce pojawiła się też i ostra biegunka. Stało się jasne, że powodem zatrucia była nieszczęsna kromka chleba, nasycona środkiem odkażającym.

Rano, nie zwracając uwagi na czyjakolwiek niedyspozycję, grupę robotników przeprowadzono na rampę kolejową i załadowano do wagonu. Po godzinie pociąg ruszył, a przejazd do celu trwał trzy dni. Kilkakrotnie wagon odczepiano od składu i przetaczano na bocznicę. Na kolejnych postojach wnoszono do wagonu kocioł z czymś, co przypominało zupę, i każdemu wydzielano porcję chleba. Stanisław nie miał jednak ani siły, ani ochoty na jedzenie. Już sam zapach powodował u niego odruchy wymiotne, a ostry ból brzucha nie pozwalał na swobodne poruszanie się. Horror trwał całą drogę i gdyby nie opieka starego górala spod Nowego Targu ciężko byłoby mu przetrwać tę najgorszą w życiu podróż.

Kiedy kolejny raz otworzono wagon i nakazano wysiadać, na ścianie budynku dworcowego odczytano nazwę stacji: Wangen. Nikt nie wiedział, gdzie to jest. Wkrótce wyładowano jeszcze kilka wagonów z robotnikami i wszystkich przewieziono do budynku

przypominającego więzienie lub stary szpital. Tam, po raz pierwszy od wyjazdu z domu, Stanisław mógł położyć się na pryczy i przykryć kocem, a z powodu gorączki i dreszczy góral okrył go dodatkowo swoim płaszczem.

Wydanego posiłku Stanisław kolejny raz nie był w stanie zjeść. Czuł się coraz gorzej, tracił siły, z wyczerpania przed oczami wirowały mu fioletowe plamy. Któryś z Polaków, zaniepokojony jego stanem, powiadomił widocznie niemieckich strażników, ponieważ wkrótce zabrano Stanisława na oględziny do izby chorych. Nie mogąc nawiązać werbalnego kontaktu z Polakiem, niemiecki felczer po swojemu uznał, że „symulantowi” wystarczy podać... środki przeczyszczające. To spowodowało dalsze tortury Stanisława i jeszcze większe osłabienie.

Tłumacz, prawdopodobnie Ślęzak, poinformował robotników z Polski, że następnego dnia zostaną przydzieleni niemieckim gospodarzom i rozpoczną pracę w ich bauerhofach. Do wieczora nakazano oczyścić odzież i umyć się, następnie wydano skromną kolację.

Stanisław nie miał na to wszystko siły. Leżąc lub siedząc w kucki i trzymając się za brzuch, myślał tylko o jednym – aby wreszcie przestało tak straszliwie boleć. Kolejna nieprzespana noc wydawała się nie mieć końca. Następnego dnia przeprowadzono wszystkich na obszerny dziedziniec, a po kilku godzinach oczekiwania, około południa, pojawili się tam pierwsi bauerzy, niektórzy ubrani w skórzane kamizelki i krótkie portki. Z zainteresowaniem obserwowali zebranych Polaków. Stanisław zapamiętał, że pojawili się też ubrani w brązowo-żółte koszule z jaskrawymi opaskami na rękawach. Po raz pierwszy zobaczył zwykłych gospodarzy niemieckich, z których niektórzy byli członkami partii hitlerowskiej.